

# Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 40.

CHICAGO, 3-go PAŹDZIERNIKA (OCTOBER 3-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



KASIA I KOCIĘTA.



HENRYK SIENKIEWICZ.

**Z podróży do Afryki.**

(Ciąg dalszy).

Nagle rozlegają się głosy: „Look here!” i kilkanaście rąk wyciąga się, ukazując na burtę łodzi. Patrzę i spostrzegam małą, szarą ptaszynę podobną zupełnie do skowronka, siedzącą na linie, tuż koło burty i spoglądającą z wielką ufnością na ludzi swemi małemi, jak czarne paciorki oczkami.

Jest w tem coś naprawdę wzruszającego, bo taki ptaszek — to istotnie zwiastun ziemi — to znak, że podróż ukończona.

Wkrótce nadlatuje całe ich stadko. Jedne siadają, gdzie który może, inne lecą nad okrętem lotem, który wydaje się bardzo powolny, dlatego że i sami jesteście w ruchu.

Słońce podnosi się coraz wyżej i z każdą chwilą czyni się cieplej. To przecie już egipskie słońce nam przyświeca. A jaka wiosna!! jak się oddycha swobodnie! Morze i powietrze pełne blasków! W tych blaskach poczyna coś majaczyć, wynurzać się, biec, rysować się coraz wyraźniej.

—Co tam widać? — pytam stojącego obok oficera.

—Damieta — odpowiada Anglik.

Lecimy do kabiny po lornetki. Przez nie widać nietylko budynki Damiety, ale palmy i żółte, świecące mocno piaski.

Aleksandryę i Rosettę minęliśmy na taką odległość, że ich wcale nie było widać. Zatrzymamy się dopiero w Port-Said, skąd po kilkogodzinnym postoju udamy się przez kanał do Izmailii.

Tymczasem z dziwnem wrażeniem spoglądałem na ów świetlisty rabek ziemi, który wciąż był w granicy naszego wzroku.

Po raz pierwszy w życiu miałem zobaczyć Egipt i Afrykę.

## II

## Port-Said.

Doki, latarnie, magazyny i zbiór zwykłych, mniej więcej odrapanych domów żółto pomalowanych i wzniesionych na żółtym piasku ławicy, oto Port-Said.

Jeszcze statek nie stanął, jeszcze stoimy na pokładzie z lornetkami w ręku, a już widzimy, że miast nie ma w sobie nic godnego uwagi. Tu i ówdzie wznosi się wieżyczka kościelna, tu i ówdzie błyszczą w słońcu minareciki, wysmukły jak świeca, zapalona nad miastem; ale wszystko to nowe, wczorajsze, pozbawione cech i charakteru wschodu. Bo też miasto powstało dopiero przy budowie kanału. Przedtem była to zasma piaszczysta i bezwodna, zie-

mia mew, czapli, czerwonaków i pelikanów, które żyły tu w niezmaconym spokoju, bo nawet łodzie rybackie nie zawijały do jałowej ławicy.

Gdy zaczęto kopać kanał suezki, miasto urosło nagle, jak grzyb, a ptasie sejmy musiały sobie szukać innych zasp, co zresztą nie przyszło im zbyt trudno, jest ich tu bowiem cały labirent. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, widać owe łąwy, zasy, długie rzuty piaszczyste, mniejsze nasypy, progi i groble sztuczne, które wzniosła, lub ustaliła ręka ludzka; wszystko to poprzedzielane krętymi wstęgami wody poplątanemi tak, że w tym hałasie świeżo przybyły podróżnik nie wie, gdzie się kończy morze, gdzie się poczynają wody jeziora Menzalech, co należy do Afryki, co do Azji.

Bo też, naprawdę, żadna z tych ławic, a więc i ławica, na której się wznosi Port-Said, nie należy ani do Afryki ani do Azji, tylko do morza. Na całej szerokości Delt, Nil, przez wszystkie ramiona i przez wszystkie kanały, wrzuca w morze czarny muł, naniesiony z wnętrza Afryki, a ono jakby rozgniewane za to, że rzeka mąci jego przezrocze, bije w nią piaskiem i zatyka jej ujścia. Stąd wjazd do wszystkich portów egipskich jest trudny i nawet do Aleksandrii okręt nie może wejść bez pilota tj. przewodnika, znającego dobrze dno portu.

Obchodzą się bez pilotów jedynie statki austriackie, kierowane przez Dalmatyńców, którym w znajomości morza Śródziemnego i biegłości żeglarskiej nie wyrównają nawet Anglicy.

Prawdziwy wdzięk Port — Saidu stanowi jedynie olbrzymia przestrzeń wód i nieba, w stosunku do szczupłej rozległości ziemi, na której stanęło miasto. Skutkiem tego wydaje się ono drobną świetlistą plamką, zagubioną wśród dwóch niezmiernych błękitów — i rzekłbyś: istnieje po to tylko, by promienie słoneczne miały się na czem zebrać i co rozświecić. Błyszczą też, jak bryła jasnego złota, aż oczy się mrużą pod nadmiarem blasku.

Statek zbliża się coraz bardziej. Gwałtowny ruch śróbry łagodnieje i wpływamy do portu. Dzieśiątki większych i mniejszych łodzi otaczają wnet parowiec.

Miasto, jak powiedziałem, nie ma żadnego charakteru, ale, spojrzawszy na łodzie, mówi się sobie: jednakże to Wschód! Jeszcze balkony statku zamknięte i schodki nie spuszczone, a już tam na dole wre, jak w kotle. Co za gwar, wrzask i jarmak!

Arabowie, Beduini, Sudańczycy, nawpół ubrani, z piersią nagą i w jaskrawych kiefijach na głowie, krzyżczac w niebogłosy, odpychają sobie wzajemnie łodzie bosakami i wiosłami. Każdy chciałby się pierwszy dostać na statek i porwać rzeczy podróżnych, którzy wysiadają w Port — Said.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## KASIA I KOCIĘTA.

Od chwili, gdy kotka  
Małe ma kocięta  
Kasia zachwycona,  
Kasia uśmiechnięta!  
Wciąż czuwa nad niemi  
Pielęgnuje sama  
Czesze, karmi, poi,  
Istna kocia mama.  
Nieda im po ziemi  
Zrobić ani kroku,  
Wciąż się o nie boi,  
Ma ciągle na oku.  
Już nawet i kotka  
Na Kasię wyrzeka,  
Bo własne swe dziatki  
Widuje zdaleka.  
I często tak miauczy,  
Gdy widzę ją samą:  
— Czy to ja, czy Kasia  
Jest tych kociąt mamą? —

F. Pułowski.

JÓZEF GRAJNERT.

## ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Wyszli, ale nie zwrócili uwagi, iż ktoś był w komnacie, który wysłuchał ich wrogiej dla braci rozmowy. Był nim palacz, który osłonięty cieniem komnaty siedział z boku przy kominku; zrazu się zdrzemnął, a potem zbudzony głośną rozmową małżonków książęcych, nie zmrużył już oka do jej końca.

Nazajutrz nie miał nic lepszego do roboty, jak w tajemnicy zwierzyć się z podsłuchanych zamiarów Goworkowi.

Tego dworzanina, który tu czuwał nad młodocianami laty Kazimierza, książę Władysław niebawem wysłał wedle życzenia małżonki na pobyt stały do Sandomierza. Cóż ten miał począć przeciwko potężnej woli księcia? Przypasał miecz do boku, pożegnał się czule ze swym wychowankiem i konno pojechał do stolicy księstwa Henryka Sandomierskiego. Tam go z otwartymi rękami, jako człowieka zacnego i zasłużonego wojaka, przyjęli młodociany książę Henryk.

Goworek nie omieszkiał uprzedzić, tak jego, jak i braci przez posły o grożącym im niebezpieczeństwie ze strony najstarszego brata, księcia na Krakowie.

Tak więc Henryk jak jego bracia mieli się na

baczności. Ale gdy podmówieni przez Władysława książęta z Kijowa i Halicza poczęli dzielnicę Sandomierską najeżdzać płądrować, gdy tak samo czy; nili podburzeni przezeń i żonę Agnieszkę niemiaszkowie drapieżni, — trzech bracia: Mieczysław, Bolesław i Henryk, udali się z pocztami przybocznymi do Krakowa i ze łzami w oczach jęli prosić i zaklinać brata, by im krzywdy nie czynił. Ale on, podmawiany ustawicznie przez złą żonę, był głuchym na ich prośby.

Rozjechali się przeto z niczem do swoich dzielnic, a przy pożegnaniu ruchliwy i przemyślny Mieszko czynił im otuchę lepszej przyszłości i umówił się, aby w razie bliskiego niebezpieczeństwa do niego w Poznaniu zjechali się z hufcami zbrojnymi, ile ich będą mieli pod ręką. Postanowili razem się bronić przeciwko napadowi Władysława.

Żył pod ten czas jeden bardzo bogaty pan wielkopolski, nazwiskiem Piotr Duńczyk. Życie jego było dotąd burzliwe, grzeszył dużo w młodości. Teraz pad starość usatkwował się, i pragnął dobrymi uczynkami Pana Boga przebłagać. Zaczął budować kościoły, głównie w Wielkopolsce i na Pomorzu, którą to prowincję zawojował i ochrzcił dzielny i pobożny Bolesław III-ci, i gdzie z natury rzecz sporo domów Bożych potrzebą było dla nowo ochrzczonego narodu.

Kościółów tych wystawił swoim kosztem pan ten możny siedmdziesiąt siedm.

Uczciwy z natury, ubolewał nad zagrożoną dołą swego władcy księcia, Mieczysława III, jakoteż krzywdzonych przez zabiegi Niemkini Agnieszki jego braci. Zaczął więc trzymać stronę młodszych braci i skłaniać ku nim serca Polaków.

Dowiedziała się o tem chytra, chciwa władzy Agnieszka, i tak nastroiła rzeczy, że tego Duńczyka tajemnie pojmano, wtrącono do więzienia we Wrocławiu, pono wyłupiono mu oczy, a przytem kazano język uciąć, aby nie podmawiał więcej narodu przeciwko zamysłom ambitnego księcia krakowskiego. Podobno kat, czy ktoś ze służby więziennej, ulitował się nad ośleplym i zostawił mu język nietknięty.

Tymczasem na Wawelu krakowskim snuły się w dalszym ciągu intrygi i knowania tajemne. Odbywały się narady przysłanych z Niemiec ludzi z Agnieszka, a maż jej swoją drogą wysyłał na Ruś poufnych z pieniędzmi, którzy czynili zaciągi ludzi orężnych. Sam też zbroił się szykował swoje hufce rycerzy nieszych w Krakowie, Poznaniu, a nawet w Gdańsku pomorskim, i nazaczył im punkta zborne w różnych miejscach swych dzielnic.

W obronnym, zamkniętym grodzie Sandomierskim, obmwanym falami Wisły, młodociany Henryk, uprzedzony o gotującym się najeździe, czuwał. Miał pod ręką wypędzonego przez Władysława nie-



gdyś hetmana, jednorekiego Żeliszawa i dzielnego, w pełni sił Goworka. Żeliszaw ten stracił był rękę negdyś w boju, a król Bolesław Krzywousty obdarzył go dobrami ziemskimi i kazał dlań ulać rękę z najczystszej złota. Mimo braku ręki, dawny ten hetman, biegły w wojowaniu i pomysłach, przytem dzielnego ducha rycerz, wielce się teraz przydał młodzieńczemu Henrykowi. On to ciągle miał czucie z pogranicznymi strażami; a te właśnie przysłały wieści na zamek sandomierski, że zbrojne zastępy ciągną na księstwo z jednej strony od wschodu, a z drugiej od Krakowa. Nie było chwili do stracenia. Na naradzie wojennej Żeliszaw wyłożył księciu, iż sam ze swem szczupłem wojskiem nia da rady orzwałnym, połączonym siłom nieprzyjaciół, że zatem należy zebrać orężnych ludzi z księstwa, o ile się da najwięcej pociągnąć z nimi do Poznania, gdzie się też i Bolesław ze swymi Mazurami znajduje. Tam dopiero będą się mogli we trzech oprzeć skutecznie potężnemu napastnikowi.

Rad tych w zupełności posłuchał 16 letni śmiały, nader pobożny i zapalny Henryk. Żeliszaw pomknął z Sandomierza naprzód, samotrzeć na Wielkopolskę, gdzie go już w Poznaniu czekał książę Mięszko, aby przyjąć nad złączonymi pułkami naczelną dowództwo, a zaraz też potem z hufcami sześcuset dzielnych orężników i rycerzy, lasami wielkopolskimi przesunął się także do Poznania, okryty zbroją, z mieczem u boku, Henryk. Goworek sprawny i przezorny pomagał księciu w sprawowaniu naczelnego dowództwa nad tym oddziałem.

Wszystkich ludzi orężnych nie mógł ze swego księstwa zabierać Henryk; część ich znaczna potrzebna była do utrzymania porządku i bezpieczeństwa ludności. Co też miał kosztowniejszego w zamku, zabrał z sobą, lub ukrył w bezpiecznym miejscu, a szczupłej załodze zamkowej w razie nagłym zalecił opuścić gród i cofnąć się w bezpieczne miejsce, przed natarczywością przemożnego nieprzyjaciela. Wreszcie przyrzekł miejscowemu duchowieństwu, kasztelanowi, załodze i starszym powiatowym oraz sołtysom wiejskim, którzy się zgromadzili przed zamkiem na pożegnanie dobrego księcia, iż przy Bożej pomocy wkrótce do swego dziedzictwa „jako zwyczajna napastników, powróci, w czym mu drudzy bracia dopomogą.

Ksiądz kanonik, zarazem proboszcz miejscowego kościoła katedralnego, niedawno, bo w r. 1121 wystawionego, na intencję szczęśliwej wyprawy księcia odprawił wotywę w tejże świątyni do cna zapełnionej pobożnymi. Książę wyspowiadał się, przyjął Komunię św. i w czasie nabożeństwa krzyżem leżał, żarliwie się modląc. Po nabożeństwie Henryk, posiliwszy się wraz z duchownymi i rycerstwem na zamku, żegnał się z pozostałymi na miejscu, a księżom ucałował dłonie. (C. n. d.).

## GŁOS TAJEMNICZY.

Na środku w jadalnym pokoju stał stół świętecznie nakryty, na którym pełno było kwiatów, owoców, tortów i ciastek. Najwspanialej jednak ze wszystkiego wyglądała na środku ustawiona etażerka, złożona z kilku kryształowych kloszy, na których umieszczone były różne słodycze. Tak przy najmniej zdawało się małej Zosi, która podziwiała wszystkie te dobre rzeczy.

— Mogę, czy nie mogę, — można było wyraźnie wyczytać w jej oczkach.

Rzeczywiście, Zosia miała surowo przykazane niczego nie dotykać.

— Ale przecież nikt nie widzi, myślała sobie i tego nikt nie zauważy, że ja coś wezmę... Choć jedną czekoladkę!

A Zosia tak bardzo lubiła czekoladki!

Już wysunęła rączkę do zakazanego owocu, gdy nagle zdawało jej się, że usłyszała poza sobą jakby cichy głosik ptaszka, który wyraźnie wołał: „Nie czyn tego! nie czyn tego!” Cofnęła rączkę i obejrzała się po pokoju. Nie było nikogo i choć nasłuchiwała, nikt się nie ruszył.

— To nic! — pomyślała, to mi się zdawało!

Ale gdy po raz drugi wyciągnęła rączkę, znowu coś jakby zaśpiewało: „Nie czyn tego!” Znowu nasłuchiwała z bijącym sercem, Skąd pochodził ten głos? Czyżby pochodził z jej serca?

Zawstydzona wybiegła z pokoju, nic nie ruszywszy.

Dnia następnego stała Zosia przy sztachetach, które oddzielały ogród jej rodziców od ulicy i trzymała w rączce ciasteczko czekoladowe, nadziewane kremem. To było jej ulubione ciasteczko! Nim go jednak jeść zaczęła, zwyczajem niektórych dzieci, wyciągnęła rączkę z ciastkiem przed siebie, chcąc się wpierw nacieszyć jego widokiem, aż tu pod sztachetami zatrzymał się mały, biedny chłopczyk. Był bosy i w podartym ubraniu. Ach, z jakąż zazdrością spoglądał na ciastko! Zosia to spostrzegła.

— Głodny jesteś zapytała ze współczuciem.

Milcząc potwierdził skinieniem głowy.

— To weź! — powiedziała i bez namysłu podała mu ciastko przez sztachety.

Oczy biednego chłopczyny zajaśniały radością. Podziękowawszy dziewczynce, chciwie zabrał się do spożycia tego przysmaku.

Zosia stała chwilę spokojnie. Wtem usłyszała niby cichy, ptaszęcy głosik, ale jakoś inaczej brzmiał on jej w uszku: „Dobrze zrobiłaś! Dobrze zrobiłaś!” I przy tych słowach tak jej przyjemnie było, że postanowiła częściej coś takiego uczynić, aby zasłużyć na pochwałę tajemniczego głosu,

I temu postanowieniu pozostała nadal wierna.

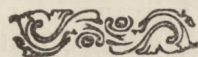


Nic nie zrobiła bez porady tego głosu, a im częściej zasługiwała na jego pochwałę, tem stawała się lepszą i miłszą dziewczynką. Wszyscy też ją kochali i mówili.

— Jaka też ta Zosia jest grzeczna i dobra dziewczynka.

Czy rzeczywiście jakiś tajemniczy ptaszek ostrzegał Zosię, czy też tylko jej się tak zdawało?

Jak myślicie, kochane dziatki?



## ANIELKA.

— Szczęśliwa nauczycielka! —  
Mówiła mała Anielka:

Że król jakiś wroga swego  
Pobił, lub wziął do niewoli?  
Czyliż racyi nie mam, tato?  
— Nie — ojczulek rzecz na to —  
Trzeba wiedzieć moje dziecię,  
Wszystko, co się dzieje w świecie;  
Warto poznać różne kraje,  
Ludy i ich obyczaje,  
Różne grody starodawne,  
Naszych przodków czyny sławne  
Wynalazki i odkrycia...  
— A czy mi to doda życia?  
— Tego nie da, lecz ci mile  
Uprzejmni życia chwile;  
Wszystko zajmie cię, kochanie,  
I na złe czasu nie stanie.



### CZYTELNICY.

— Tylko sobie przy mnie siedzi  
I nad lekcją się nie biedzi.  
Słucha, słucha, czasem spyta,  
Lub coś powie; ot, i kwita!  
A ja, mój Ty dobry Boże!  
Z książką siedzę w każdej porze,  
Nad nauką ciągle ślęcę,  
Tylko sobie głowę męcę.  
— Nie spamiętam, słowo daję,  
Jakie tam są w świecie kraje,  
Albo jakie żyją ludy;  
To doprawdy tylko trudy  
Niepotrzebne. Co mi z tego,  
Czy mnie o to serce boli?

Dziś chce każdy moja miła,  
By nauka się szerzyła.  
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,  
To na świecie lepiej będzie!

### KWIAT PAPROCI.

Bajka przez Stanisława Krauza.  
(Dokończenie).

Pies dostrzegł to zdaleka; przyśpieszył biegu i zaczął się szybko zbliżać do tego miejsca.  
Nie było co robić, trzeba było otwarcie uciekać do lasu, gdzie w zaroślach łatwiej psu zmylić drogę.



Matka dała znak i cała rodzina puściła się szalonym pędem w stronę lasu. Tam było zbawienie, a tu na otwartem polu śmierć pewna!

Gdy pi eszobaczył, że to zające uciekają, puścił się, ile sił starczy i zaczął doganiać. Gdyby stara zająca była sama, nie byłoby jej trudno zostawić daleko za sobą ciężkiego kundla, lecz młode ciągle się potykały i niebezpieczeństwo było wielkie. Ale na szczęście pies się też potknął o kamień polny i wyrzucił koziołka, aż się zakurzyło. Kurz na chwilę przysłonił mu oczy i to ocaliło zającą rodzinę. Kilka susów i wpadli do lasu, a żeby psu zmylić drogę, rzucili się w bok i przycupnęli w krzakach kolących cierni. Pies rozpędził się i pobiegł prosto, powęszył, powęszył i musiał z niczem powrócić do domu. A zajączki po paru chwilach odpoczywały już spokojnie w swej kotlinie, śmiejąc się z psiego koziołka.

Wieczorem tego dnia przyszedł ich odwiedzić stary zając, Kulawy, nazwany dla tego, że miał nogę przestrzeloną na polowaniu. Lubiły go bardzo młode zajączki, bo często opowiadał im różne ciekawe bajki i swoje przygody. A miał dużo do opowiadania, bo stary był i wiele w życiu widział. I dziś zasiadł sobie wygodnie a chrupiąc kapustę leśną, zaczął mówić:

— Jutro mamy wigilię św. Jana i zające z naszego lasu urządzają sobie zabawę, którą ludzie nazywają Sobótką. Rozpala się ognisko i młodzież skacze i tańczy naokoło niego.

Jak wiecie, w młodości schwytał mnie gajowy i zaniósł do dworu, gdzie mnie chowano do czasu, aż dorosłem i uciekłem do lasu. Otóż podczas tej niewoli nasłuchiwałem się różnych opowiadań ludzkich, a między innymi i o wigiliu św. Jana. Różne rzeczy mówią ludzie o tym dniu, a właściwie o tej nocy. Znaćcie ma się rozumieć te duże liście, co rosną w lesie na wilgotnych miejscach, a nazywają się paprocie? Otóż o tych roślinach mówią ludzie, że zakwitają raz na rok na kilka chwil, o samej północy, w wigilię św. Jana, — i że kwiat ten ma cudowną siłę. Kto go znajdzie, ten będzie szczęśliwy i będzie mógł zrobić wszystko, czego zapragnie. Tak mówią ludzie o kwiecie paproci.

Zajączki słuchały z uwagą słów starego Kulawego, lecz z największą ciekawością słuchał Skoczek. Gdy Kulawy skończył, Skoczek pomyślał chwilkę i zapytał:

— A czy i zając mógłby wszystko zrobić, coby chciał, gdyby mu się udało znaleźć kwiat paproci?

— Zapewne odrzekł Kulawy, — ale to rzecz bardzo trudna. Trzeba być odważnym i nie bać się żadnych strachów, które w tę noc przy szukaniu kwiatu starają się przeszkadzać. Już dużo ludzi próbowało tego, ale nie udało im się.

Skoczek w głębi duszy postanowił udać się jutro na poszukiwanie kwiatu paproci. Gdyby go dostał, zażądałby, żeby wszystkie zające miały kapusty, ile tylko zechcą, i żeby wszystkim psom zawieszano takie drągi u szyi, aby nie mogły biegać za zającami. I żeby można było psu, czy lisowi zniknąć przed samym nosem! (Nasz zajączek nie czytał bajek o czapce niewidce, lecz często sobie o takiej rzeczy myślał).

Nadszedł wreszcie wieczór wigilii św. Jana. Wieczór ciepły, prześliczny, jak to często w czerwcu bywa. Wśród lasu gęstego, na ładnej polance zebrały się setki zające, ułożyły duży stos ze suchych gałązek i podłożyły zeszłorocznych igiełek sosnowych, bo te się doskonale palą. Czekano tylko na jednego zająca, który miał przynieść palącą się gałązkę z ogniska, niedogaszonego przez pastuchów. Nareszcie zjawił się i ten zdyszany, niosąc w pyszczku tlejącą gałąź. Podłożono ją pod igielki i wnet ogień ogarnął cały stos.

Zaczęła się zabawa. Zające miały przyrzeczenie od lisów i innych drapieżników, że im w zabawie nie będą przeszkadzały, więc też bawiły się z ochotą i spokojem o swoją skórę. Wielkie koło utworzyło się naokoło ogniska, a dalej i mniejsze kółka tańczyły wesoło. Kulawy też był na zabawie i starał się podrygiwać, choć mu niebardzo chora noga na to pozwalała.

Później zaczęły się skoki. Rozpędzały się zające i jednym susem przesadzały ognisko. Zdarzały się jednak i mniej zręczne, a tym obrywało się nieco za śmiałość i opalały sobie futerka. Śmiechu w takich wypadkach było niemało.

Skoczka na zabawie nie było. Rodzeństwo jego bawiło się doskonale, skacząc i tańcząc, a on przez ten czas wędrował po lesie, daleko od rodzinnej kotlinki, z biciem serca czekając na północ. Według gwiazd umiał nasz zajączek bez zegarka zmiarkować, kiedy to nastąpi. Szedł pomiędzy drzewami, gdzie było najwięcej paproci i rozmyślał sobie o tych dobrodziejstwach, jakimi się będzie cieszył ród zającey, dzięki cudownemu kwiatkowi, który, on, Skoczek, zdobędzie. Już sobie wyobrażał mnóstwo kapusty doskonałej, wielkie drągi, przeszkadzające psom wiejskim gonić jego braci — długouchów. I wszystko to zdobędzie on, mały Skoczek! Tylko odwagi!

A tej mu już zaczynało trochę brakować. W lesie tak ciemno i pusto, zające wszystkie daleko na Sobótkach, a on sam jeden musi tu chodzić po wilgotnych miejscach. Może go spotkać wilk, lub inny zwierz i rozszarpać na kawałeczki. Ale trudno, trzeba wytrwać, a za to w nagrodę może się uda zdobyć cudowny kwiat paproci.

Uderzył się naraz zajączek łbem o pień starego dębu i przypomniał sobie o tem, że już północ



się zbliża. Strach coraz bardziej go opanowywał: wydawało mu się, że słyszy naokoło straszne wycia wilków i szczekanie psów, że oto w tej chwili wypadnie z gęstwiny kudłate psisko i chwyci go za kark ostremi zębami. W liściach słychać było jakieś szmery; był to poprostu lekki wietrzyk, lecz naszemu Skoczkiowi wydawało się, że to myśliwy idzie i mierzy do niego z fuzji. Najadł się biedny zajączek strachu niemało!

Naraz drgnął i zapomniał zupełnie o swych obawach. Na jednej dużej paproci pokazało się śliczne światełko, jakby biały kwiatek. Skoczek jedynym susem znalazł się przy światełku i wyciągnął pyszczek do liścia. Po chwili listek paproci był już odurzony ostremi ząbkami zajączka, a na listku wciąż leżał świecący kwiatek. Teraz Skoczka opanował strach ogromny i zarazem chęć zachowania kwiatka; nie myśląc więc długo, puścił się z całej mocy zajęczych nóg w stronę, gdzie jego bracia bawili się jeszcze około ogniska. Potykał się, upadał, rozbijał głowę o drzewa, lecz uważał, żeby nie zgubić światełka, znajdującego się na listku paproci.

Nareszcie po długim biegu ukazało się zdaleka ognisko i postacie tańczących zajęcy. Skoczek do był resztki sił, dopadł do ogniska, gdzie siedział Kulawy, zadyszany wykrzyknął:

— Mam, zdobyłem go! — i upadł na trawę.

— Co masz, coś zdobył, młodziku? — zapytał stary zajac, zdziwiony.

— Kwiat świecący, kwiat paproci! Już będziemy szczęśliwi! — wykrzykiwał Skoczek, podając staremu liść ze światełkiem.

Kulawy obejrzał ów kwiat, uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— To nie kwiat paproci, tylko zwyczajny robaczek świętojański! Niepotrzebnie tak się męczyłeś, biedny Skoczku!

Skoczek, gdy to usłyszał, upadł znów na trawę i płakał, długo płakał!...



### SKARB BEZ WARTOŚCI.

W dalekich od nas krajach pewien podróżny przebywał rozległą pustynię. Droga była uciążliwa a długa. Podróżnemu śpieszyło się, chciał bowiem dostać się do miejsc, obfitujących w kopalnie złota i drogich kamieni. Żądza bogactw pędziła go naprzód. Zapusił się też na boczne ścieżki, aby drogę skrócić, lecz wkrótce się przekonał, że źle zrobił, bo nie znając dobrze pustyni, zabłądził.

Biedny człowiek błakał się kilka dni i nocy i nie mógł dotrzeć do osad ludzkich. Zapas żywności

wyczerpał się do ostatka i coraz bardziej opadał z sił.

Wtem zdało mu się, że rozpoznaje ślady stóp ludzkich: spojrzął przed siebie wesołym wzrokiem i tuż pod skałą zobaczył spory woreczek. Z radością rzucił się ku niemu i otworzył go drżącymi rękami. Lecz na widok tego, co było w woreczku, twarz podróżnego zasmuciła się.

— Myślałem, że znajdę żywność, a tu są bryłki złota i drogie kamienie. Ach, Boże! — zawołał z rozpaczą — cóż mi pomogą te skarby? Oddałbym je chętnie za kawałek chleba!

Rzekłszy to poszedł dalej, ale wkrótce stracił siły i padł zemdlony na ziemię.

Gdy przyszedł znowu do siebie, uczuł, że go ktoś wodą skrapia i z ziemi podnosi. Był to osądnik, który niedaleko stamtąd uprawiał kawałek urodzajnej ziemi i żywił się z niej wraz ze swą rodziną. Pokrzepiwszy omdlałego wodą i chlebem, które miał przy sobie, zaprowadził go do swej chaty. Odpoczął w niej znępany podróżny, a gdy później do sił powrócił i przynatrzyl się spokojnemu szczęściu rolnika, nie szedł już szukać bogactwa w drogich kamieniach i złocie, lecz począł ziemię uprawiać. Przekonał się bowiem, że najdroższym skarbem jest chleb codzienny i że wszystkie inne skarby nie mają wartości, gdy chleba nie stanie.

### DZIECIĘ I KOZA.

„Powiedz-no mi kozo przecie  
„Na co rogi ci i bródka?”  
Tak się kozy pyta dziecię,  
Bawiąc się z nią wśród ogródka.

Na to kozo z mądrą minką  
Tak odpowie, skubiąc trawkę:  
— Bródkę na to mam dziecinko  
— Abyś miała z niej zabawkę.

— Lecz, gdy — mówiąc między nami —  
— Ktoś boleśnie drze za brodę,  
— Wtedy bronię się różkami  
— I dotkliwie niemi bodę. —

K. Wachtel.





**MACIERZ POLSKA**TYGODNIK POWIEŚCIOWO ILLUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,**  
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy  
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**  
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE  
Issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**  
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office

**THE POLISH PUBLISHING CO.**

Publishers of

**MACIERZ POLSKA**

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

**Tabliczka mnożenia.**

Dokończenie.

Przypominacie sobie, mali czytelnicy, ile to czasu nieużytecznie marnują Kasia i Janek w ciągu roku, tem właśnie pokazują, że zgoła nie umieją mnożenia, gdyby bowiem umieli dobrze to działa nie arytmetyczne, to, znając nieocenioną wartość czasu, nie marnowali by go tak wiele, ale owszem staraliby się zużytkować każdą jego chwilę na coś pożytecznego.

Lecz dzieci te nietylko marnowaniem czasu pokazują nieznamość mnożenia, zdradzają się z tego i innym jeszcze sposobem. Chcecie wiedzieć jakim? — posłuchajcie.

Wszystkie wiecie o tem, że rodzice są największymi dobrodziejami dla swoich dzieci, ale nie wszystkie rozumiecie, dlaczego to oni są największymi dobrodziejami. Mnożenie wam to bardzo łatwo dowiedzie i pokaże, miejcie tylko trochę cierpliwości i zastanówcie się nad tem, ile to rodzice muszą wydawać na wasze utrzymanie.

Ale najprzód, każde z was potrzebuje jeść, bo bez jedzenia nie mogłoby żyć. Co zaś jeść będziecie, o to wy się nie troszczycie: rano mama przygotowuje śniadanie, które zjecie, nie myśląc skąd się ono wzięło; idziecie do szkoły, zabieracie ze sobą przekąskę: chleb, bułki, owoce, lub ciastka. Wracając ze szkoły, macie już przygotowany posiłek, który spożywacie nie zastanawiając się nad tem, skąd on się wziął i co on kosztuje. I tak bywa codzień, czy nie?... Obliczmy teraz ile też rodzice wydają na jedzenie dla każdego z was do roku 14 skończonego.

Każdego z was śniadanie i przekąskę przed obiadem wynosi najmniej 10c; obiad 15c., kolacya 20c.; dziennie więc, nie wliczając pieniędzy wydanych na cukierki i ciastka, na pokarm każdego z was rodzice wydać muszą 45c., w roku \$164.25, a przez lat 14 wydadzą \$2299.50! Suma ta znacznie się powiększy, jeżeli do niej przydadcie wydatki na cukierki i ciastka, nie mniej jeżeli się zauważy, że przed 9 rokiem zjadałyście więcej niż to czynicie obecnie. Przypatrzcie się waszym małym braciszkom i siostrzyczkom w domu, a same spostrzeżecie, że prawie cały dzień nic nie robią, tylko jedzą i co chwila wołają: „mamo chleba!”... tak samo wyście czyliły.

Następnie oprócz pokarmu potrzebujecie ubrania. Tu jednak musimy oddzielnie obliczać dla dziewcząt i dla chłopców odzież bowiem dziewczątek daleko więcej kosztuje, niż chłopców.

A więc najprzód trzewiczki najmniej 3 pary na rok po \$1.00 — wynosi \$3; sukienki i inne rzeczy wyniosą rocznie najmniej \$25; razem 28.00. Ubranie chłopca w tym stosunku wyniesie około \$20.00. Dziewczynka do lat 14 skończonych potrzebuje \$392.00, chłopiec \$280.00; w rzeczywistości jednak sumy te są znacznie większe, szczególnie dla dziewczynek, których ubior z każdym rokiem ich wieku jest droższym.

Wreszcie przychodzi nauka przez lat 8. Opłata szkolna przez ten czas wyniesie \$40.00; przybory szkolne licząc przeciętnie na rok po \$8.00 wyniosą przez cały czas nauki \$64.00; razem na naukę rodzice wydają \$104.00, co w stosunku do jedzenia i ubrania wynosi sumę bajecznie małą.

Razem więc do ukończenia 14 roku życia każde z was kosztuje swoich rodziców najmniej \$2795.50 dziewczyna i \$2683.50 chłopiec.

Wprawdzie rodzice obowiązani są do utrzymania swoich dzieci i zapewnienia im przyszłości, ale z drugiej strony dzieci obowiązane są do okazania wdzięczności za to swoim rodzicom, a nietylko do okazania słowem, lecz przedewszystkiem czynem. O tem jednak nasze dzieci Jaś i Kasia bardzo często zapominają, co się pokazuje z tego, że bardzo często postępowaniem swoim martwią rodziców i różne sprawiają im przykrości. Powiedzcież teraz, mali moi czytelnicy, czy Jaś i Kasia umieją mnożenie, i czy wy je umiecie?... Łatwo się o tem przekonacie: wystarczy, żebyście porównały wasze postępowanie z postępowaniem Jasia i Kasi Fafulskich, a serduszko wasze zaraz wam powie, czy jesteście podobne do Fafulskich, czy jesteście lepsi od nich. Co do mnie, to myślę że wśród moich czytelników nie ma Fafulskich, a wy jak myślicie?...

F. Orczyk.





1897

1907

**PRZEW. KS. FRANCISZEK GORDON,**

założyciel Macierzy Polskiej,

którego Imieniny i Dziesięciolecie urzędowania jako Moderator, w tym tygodniu obchodzą Macierzyści.

ADRES ZARZĄDU GŁÓWNEGO:

Przewielebnemu Księdzu Franciszkowi Gordonowi, na dzień Imienin i Dziesięciolecia Jego urzędowania jako Moderator Macierzy Polskiej, Cześć i pozdrowienie.

**PRZEW. NASZ KSIĘŻE MODERATORZE!**

Za Twą niezłamaną wiarę w przyszłość polskiej młodzieży na ziemi amerykańskiej;

Za twe trudy i poświęcenia przy zakładaniu Macierzy Polskiej;

Za te 10 lat Twego prawdziwie ojcowskiego czuwania nad jej dobrem i rozwojem;

Za jednoczenie naszej młodzieży w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy;

Za jednoczenie jej dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w naszym społeczeństwie;

Za niezłomowane zabiegi by ją zachować dla Wiary i Polskości,

I za to, żeś dla nas był zawsze najlepszym Moderatorem, Składamy Ci dzisiaj Hołd Szacunku i Wdzięczności. —

Żyj nam zdrowo i szczęśliwie w jak najdłuższe lata.

A we wszystkich dziełach i zamiarach Twoich,

**Szczęść Ci Panie Boże!**

Imieniem całej Macierzy Polskiej:

Julian Szczepański,  
Agnieszka Nering,  
Maksymilian Brochocki,  
Win. J. Józwiakowski,  
Władysław Sztanka,  
Paweł P. Kucharski,  
Julian J. Nejman,  
Feliks Augusty owicz,  
Franciszek Siatkowski,  
Jan Szpekowski,  
Teofil Gordon,

Dr. B. Klarkowski,  
N. L. Piotrowski,  
Ignacy Ciesielski,  
Piotr J. Lama,  
Paweł Czemeski,  
Jan Lieske,  
Łukasz Karnowski,  
August Liss,  
Bernard S. Górski,  
Anna Klarkowska,

Marya Korzeniewska,  
Anna Józwiakowska,  
Jadwiga Kamińska,  
Leokadya Możuch,  
Marya Domek,  
Franciszka Marcinkowska,  
Wiktorya Menkicka,  
K. B. Czarnecki,  
Feliks Lama,  
Marya Ciciora,

Chicago, w uroczystość Św. Franciszka Serafickiego, 1907.



FELIKS PORĄBKA.

## POGADANKI Z DZIADUSIEM.

## O MYDLE.

Dokończenie.

Po godzinie gotowania powyższej mieszaniny dzieci zobaczyły w kociołku jakąś gęstą, napół przejrzystą masę, bardzo podobną do galarety.

— Niechno, dziadunio, patrzy, co się zrobiło z ługu i z tłuszczu, coś jakby galareta, a i kosteczki nie widać! — wołały dzieci. — Czyto już mydło?..

— Tak, już mydło — odpowiedział dziadus. — Weźcie teraz kociołek, skręćcie gaz i chodźmy na werandę, tam dokończę wam o mydle.

Dzieci zrobiły, jak dziadus rozkazał, i niebawem cała trójka znalazła się na werandzie, gdzie znów dziadus usiadł w wygodnym fotelu i tak mówił:

— Mydło, któreśmy sfabrykowali i które macie w garnuszku, nazywamy „szarem mydłem”. Używa się ono głównie do szorowania podłóg, prania ściepek itp. grubych robót.

— Czyto jest to samo mydło, które mama kupuje do mycia się? — zapytała Jadzia,

— Nie, dziecko, szarem mydłem nie można się myć, bo jest za ostre i zbyt piekące, nawet do prania zwykłej bielizny nie można go z tego powodu używać. Ale, jeżeli takie mydło wygotuje się dobrze z odpowiednią przymieszką soli, wtedy otrzyma się zwykłe białe, lub żółte mydło, które, jak wiecie, mama używa do prania.

— A jak robią mydła, używane w toaletach?

— Tak samo, jak i poprzednie, tylko, że zamiast łożu, fabrykanci używają do mydeł toaletowych delikatniejszych tłuszczów, szczególnie zaś olejku palmowego, dodają też i gliceryny i różnych pachnideł i barwników, czyli farb.

— Teraz już wiem, dlaczego mydło w umywalni pachnie! — zawołała Jadzia, bo przy wyrabianiu go dodali pachnidła.

— Wiecie więc z czego i w jaki sposób robią mydło, wypada mi jeszcze dodać, w jaki sposób tną mydło. Po wygotowaniu mydła, gęstą jego masę przelewają z kotłów do czworokątnych skrzyń, złożonych z oddzielnych ramek, lecz ześrubowanych razem i dających się łatwo zdejmować jedna z drugiej. W tych skrzyniach mydło ostatecznie stygnie. Po ostygnięciu, zdejmują najprzód wierzchnią ramkę i drutem ścinają pierwszy plaster mydła; następnie zdejmują drugą ramkę i ścinają drugi plaster itd. Plastry zaś krają na małe kawałki, jakie kupujemy w sklepach. Zanim jednak wyszła mydło na sprzedaż, wpierv małe kawałki wkładają do od-

powiednich form ze znakami i napisami różnymi, które w prasie wyciskają na mydle.

— A proszę dziadusia, czem się też ludzie dawniej myli, gdy jeszcze nie znali mydła? — zapytała Jadzia.

— Użytek mydła sięga już bardzo dawnych czasów, przeszło kilka tysięcy lat. Rzymski historyk, jeszcze z czasów pogańskich, Pliniusz, przypisuje wynalazek mydła Galom, plemieniowi zamieszkującemu dawniej zachodnią część Europy i opowiada, że już starzy Germanowie umieli wyrabiać twarde i miękkie mydło. Od nich też starożytni Rzymianie nauczyli się tego wyrobu, jednak i u nich od bardzo dawnych czasów mydło było w użyciu, zwłaszcza do mycia włosów. Jakkolwiekby nie da się ściśle oznaczyć czas wynalazku mydła, to jednak napewno twierdzić możemy, że ludzie używają go od bardzo dawna. Przedtem, zapewne, musieli się posługiwać jużto ługiem, jużto roślinami.

— Jakto roślinami, czy są mydlane rośliny? — zapytał zdziwiony Tadziu.

— A tak, są pewne rośliny, które mają własności mydła: nadają wodzie wygląd wody mydlanej, zdolność tworzenia piany i ułatwiają pranie. Do takich należy bardzo pospolita roślina, zwana mydlnikiem i drzewo mydlane, rosnące w południowej Ameryce i we wschodnich Indyach.

— Tego nie wiedziałam — rzekła Jadzia.

— Wcale się temu nie dziwię, moje dziecko, jesteście jeszcze małemi, więc nie możecie wszystkiego wiedzieć i umieć, zresztą dowiedzcie się i tego, że na świecie nie ma takiego człowieka, któryby wszystko wiedział i wszystko umiał, nawet najuczeńszy i najmędrzy nie wie i nie umie wszystkiego, jeden tylko Pan Bóg wie i umie wszystko. Człowiek zaś choćby całe życie swoje poświęcił nauce, to jednak przy końcu musi sobie powiedzieć, że się nie wiele nauczył, że mu jeszcze pozostało bardzo dużo rzeczy do poznania i zrozumienia. Stąd jednak nie wynika, dzieci, żebyśmy się już niczego nie uczyli i niczego nie chcieli poznać, dlatego, że wszystko nie jesteśmy w stanie nauczyć się. owszem ścisłym naszym obowiązkiem, jak to już wam na początku powiedziałem, jest starać się badać i poznawać jak najwięcej rzeczy, zrozumieć poco i dlaczego je Pan Bóg stworzył, Aby wam pomódz w tej pracy, sadzę, że zgodzicie się, abyśmy jeden dzień w tygodniu przeznaczili sobie na takie pogadanki o różnych rzeczach. Cóż, chcecie?

— Iowszem, dziadusiu, chcemy tego i zgóry już dziękujemy. — zawołały ucieszone dzieci, obejmując za szyję dziadusia i ściskając go.

— No, dobrze, dobrze już, nie uduście mnie tylko, bo w takim razie nie mógłbym wam dotrzymać przyrzeczenia. Nasze mydło, widzicie, już pra-



wie ostygło, miękkie ono jest, ale i niem już można prac. Jadzia może wyprać sobie sukienki swoich lalek, albo jeżeli chcecie, możecie sobie znów pomydlić nosy, jakto robiłyście w umywalni. Idźcie teraz bawić się, bo po nauce konieczna jest rozrywka, ja zaś przeczytam sobie Dziennik Chicagoski. Proszę cię, Tadiusz, zobacz, czy już chłopiec przyniósł Dziennik,

Tadiusz pobiegł i za chwilę wrócił z Dziennikiem.

— Oto jest, dziaduniu — zawołał, podając dziadkowi gazetę.

— Dziękuję, możecie już odejść do zabawy — odpowiedział dziadus i zabrał się do czytania, a dzieci pobiegły się bawić na podwórku.

### DZIECKO CZWARTEGO PUŁKU.

Pamięć narodowa otacza wielką sympatją pułk czwarty ułanów polskich. I nie dziw, wszak w pamiętnej bitwie pod Grochowem walczyli tak mężnie — i chociaż nasze wojska nie odniosły tam zwycięstwa — mimo to z dumą wspominają ją Polacy.

Czwartacy byli dzielni wojownicy, ale też i wisusy, a figlerze nielada. Nieraz przez głowy ich przechodziły koncepty, które obiegały całą Warszawę.

Jedną z tych anegdot opowiem wam. Posłuchajcie:

Było to rano. Dzień targowy, Na placu za Żelazną bramą wozów pełno, uwijają się wieśniacy, przekupnie i kupujący.

W zajeździe przy oknie siedzą dwaj żołnierze z pułku 4-go i popijając piwo patrzą z okna na ruch targowy.

Widzą, że do jednego z wozów zbliża się jakaś kobieta i kładzie na wóz ostrożnie kobiałkę, starannie przykrytą, a zarazem przemawia do chłopca — widocznie coś mu nakazuje i o coś prosi.

— Co też to takiego owa kobieta dała do przechowania chłopcu? — mówi jeden z czwartaków.

— Może przyodziewek.

— Ej, nie kładłaby tak starannie.

— Może butel wódki?

— Oj! jeżeli to wódka, to dalibóg musimy jej skosztować. I tak się człek namęczy w tej służbie i na mustrze, grosza w kieszeni niema, ledwie na jedną marną szklaneczkę piwa starczyło.

— Wartoby się przekonać.

— Ale jak?

— Zaraz go tu sprowadzę — rzekł jeden z ułanów i wyszedł z szynku, zapytał po drodze, skąd jest ów wieśniak, na którego wozie leżała kobiałka, przystąpił do niego i zagadnął:

— Zdaje mi się, gospodarzu, żeście z Jabłonnej.

— Albo co, panie wojak? ta juści nie skąd inąd.

— Doprawdy? a jak się tam miewa kowal,

Przypadkowo znał kowala, bo raz podkuwał u niego konia, gdy w drodze zgubił podkowę.

— O! stary się krzepko trzyma. A może to jaki wasz?

— Tak sobie — piąty kół w płocie, ale zawsze dobry znajomy, zanieście mu odemnie pozdrowienie.

— Dobrze, a jak mam powiedzieć? od kogo?

— Wejdźcie do izby, to się wam zaprezentuję.

— Nie mogę, mam pilnować kobiałki, co mi ją kobieta dała.

— Kobiałka niema nóg, nie ucieknie...

— Ale to, co w niej jest, uciec może — rzekł chłop — a głowęby mi kobieta zdarła.

Ułan rozciekawiał się jeszcze bardziej i rzekł:

— Napić się gorzałki możecie i przez okno spoglądać także.

Chłop dał się namówić. Z początku patrzyli przez okno, potem ułan tak zameranowował, że chłop od okna się odwrócił, a tymczasem jego towarzysz wymknął się i przystąpił do wozu. Zdjął kobiałkę i chciał z nią wejść do zajazdu, gdy wtem spostrzegł wachmistrza. A że miał w tej chwili być w koszarach a nie na targu, więc przeraził się bardzo, bo za to groził areszt i nie namyślając się wiele czmychnął razem z kobiałką i popędził wprost do koszar.

Drugi czwartak, ujrawszy wachmistrza, wysunął się także drugimi drzwiami i także uciekł do koszar.

A czas był najwyższy, bo właśnie wzywano do apelu, Nie było czasu zaglądać do kobiałki, wsunęli ją pod wspólny tapczan, na którym sypiali i stanęli do apelu.

— Zobaczmy po apelu co tam w tej kobiałce — mówił jeden do drugiego, stojąc w szeregu.

— Umieram z ciekawości. A może to jakie babskie szmaty?

— Za ciężkie na to.

Tymczasem chłop spostrzegłszy, że mu kobiałkę skradziono, nie czekał już na kobietę, ale zaciął konie i pojechał do Jabłonnej.

W czasie apelu był tylko jeden żołnierz służbowy na sali.

Naraz zdaje mu się, że słyszy kwilenie dziecka... słucha uważniej, a to naprawdę dziecko płacze.

Przeżegnał się i splunął, bo już się szarowo robiło, myślał, że jakie licha, a to jak płacze, tak płacze, a on nic nie widzi. Biegnie więc do raportu, raportuje sierżantowi kompanii o tem, że dziecko kwili w sypialni — a sierżant raportuje oficerowi.



Przychodzą: wiara się z apelu schodzi. Rewidują prycze, aż tu pod jedną znajdują w kobiałce ładniutkie dzieciątko.

Gdy W. Książę Konstanty dowiedział się o tem, rzekł:

— Dobrze. Zachciało im się dziecka, niech je



KAŻDY POCZĄTEK TRUDNY.

Przyszło do indagacji. Wydała się sprawka, Winowajcy posiedzieli w kozie. Ale co zrobić z dzieckiem?

teraz hodują. Żeby cały pułk miał o niem staranie, będzie ich synem.

I tym sposobem czwartacy mieli syna.



➤ **BEZ RODZINY.** ➤

WEDŁUG POWIEŚCI

H. MALOTA.

Ciąg dalszy.

— No, co tam, o tym dłużej nie warto gadać— odrzekł wymijająco, Zobaczmy później co z nim zrobię, a teraz możebyś mi parę groszy dała. Dziś tłusty wtorek, a nawet jednym kieliszkiem nie odwilżyłem sobie gardła. No, masz tam co?

Przez chwilę słyszałem tylko kroki matki, przrzucanie rzeczy w kuferek, potem odróżniłem ciężkie stąpanie ojca i zamykające się za nim hałaśliwie drzwi.

Wówczas nagle zerwałem się z posłania i wybuchnąłem głośnym płaczem.

— Nie spałeś! — z najwyższym zdziwieniem zawołała matka.

Potrząsnąłem głową, nie przestając płakać.

— Dziecko ty moje, gołąbku najmilszy! — przez łzy mówiła matka, biorąc mnie na kolana i całując serdecznie.

— Wiesz już, że nie jestem twą matką — szepnęła mi na ucho.

— Nie wiem, i wiedzieć nie chcę! — wołałem po dziecinnemu. --- Nie, ja nie chcę innej mamy! — powtarzałem.

— I ja nie mam innego dziecka --- odrzekła matka. Od śmierci mojego synka, to jest od lat dziewięciu, zdaje mi się, że ty jesteś moim jedynym najrodzeńszym dzieckiem. Sama cię wykarmiłam, wyniańczyłam, wychowałam, ot, jakiego już dużego. — rzekła, płachtą okrywając mi długie nogi, --- a teraz chcą mi cię zabrać, O nie, ja ciebie nie oddam za nic naświecie! — i przyciskała mnie mocno do siebie, tak, że wydawało mi się, iż żadna siła oderwać mnie od niej nie zdoła.

— A gdzież jest ta druga moja mama? --- pytałem uspokojony już teraz zupełnie.

— Nic o niej nie wiem — odpowiedziała matka. --- Mieszkaliśmy wówczas w Paryżu. Olbrzymie to miasto, największe w naszej Francji. Wincenty pracował przy budowie kamienicy, a ja karmiłam własne moje pierwsze i ostatnie dziecko, mego biednego Janka. Było to jakoś jesienią; Wincenty, wracając z roboty usłyszał kwilenie niemowlęcia. W załomie muru niedokończonej jeszcze kamienicy leżało dziecko, w ciepłą owinięte chustką. Pomimo tego krzyczało, zapewne z zimna i głodu. Do Wincentego podeszło kilku innych robotników i wszyscy mówili, że strzeba o podrzuconym chłopcu zameldować w cyrkule. Dnia tego późno już było, wieczór był zimny, a dziecko sine od krzyku. Wincenty zlitował się nad biedactwem i odniósł do domu, żeby nimowłę nakarmiła. Gdyśmy przed światłem

rozwinęli je z pieluszek, zobaczyliśmy zdrowego, pięknego chłopca, który, jak smok mały, przyczepił mi się do piersi, Z pieluszek wypadła mała kartka z napisem, że dziecko zostało ochrzczone imieniem Remi. W ciepłej izbie zsiniała buzia nabrała kolorów i różowe usteczka uśmiechnęły się do mnie tak mile, że od tej chwili pokochała cię, jak drugiego syna. — Tu ucałowaliśmy się serdecznie. — Pokarmu miałam bardzo dużo, prosiłam więc Wincentego, żeby mi pozwolił wykarmić ciebie. Zgodził się. Nazajutrz poszedł oznajmić w cyrkule, że podrzucone wczoraj dziecko bierzemy na wykarmienie. W ten sposób dostałeś się do nas. Wkrótce potem umarło moje jedyne maleństwo. Chwilami z wielkiej boleści myślałam, że rozum postradam. I kto wie, czybym sobie co złego nie zrobiła, gdybym nie znalazła w tobie pociechy. Przyzwyczaiałam się do ciebie, pokochałam, a nakoniec i Wincenty zgodził się, żeby ciebie wychować, zamiast Janka, jak rodzzonego naszego syna. Nie chciałam nawet, żebyś wiedział, że nie jestem twoją matką. I może wychowalibyśmy cię na człowieka, gdyby nie ten okropny wypadek z Wincentym, Teraz sama nie wiem z czego żyć będziemy i co z tobą będzie.

— Oj, nie oddajcie mnie tylko, mamó, do gminy, bo tam do kryminału mnie zaraz posadzą — zawołałem, tuląc się ze strachem do matki.

— Co też ty gadasz? --- tłumaczyła mi matka — i za cóżby ciebie, mój gołąbku, mieli do kryminału posadzić? Tam zamykają tylko złodziei, albo zbrodniarzy, a nie takie małe, niewinne jeszcze dzieciątka. Ciebie może oddamy do ochrony.

— A co to jest ochrona? --- pytałem matki.

— To taki dom wielki --- objaśniała matka — w którym zbierają dużo, bardzo dużo takich jak ty małych sierot, ubierają je wszystkie jednakowo, dają im jeść, uczą czytać, pisać i rachować, a potem oddają do różnych rzemieślników na terminatorów. Może i lepiej ci tam będzie, niż u nas w nędzy i biedzie. (Ciąg dalszy nastąpi).

— o —  
**ZAGADKI.**

**Szarada.**

Trzy sylaby razem wzięte  
Napój, imię z sobą spięte  
Złożą ziele dość zbawienne  
Choć w odwarze nieprzyjemne.

**Zagadka.**

Jestem okrągła, duża, albo mała.  
Po większej części bywam z gumy cała.  
Lecz kiedyś z stali, posiadam zęby.  
Które przegryzą i najtwardsze dęby.

**Rozwiązanie zagadek z numeru 38.**

Zagadka: CZĘSTOCHOWA.

Szarada: MA—PA.

Zag. z gł. JAN SOBIEŃSKI, CHMIELNICKI.



## Rozporządzenia Zarządu Głównego.

Obchód 10tej rocznicy założenia Macierzy Polskiej, przypadającej na dzień 1go października, br., odłożono do stycznia przyszłego roku, celem połączenia obchodu z X-tym Sejmem Macierzy Polskiej.

\* \* \*

Ustanowiono pieniężną nagrodę za organizowanie Oddziału M. Polskiej, w parafii, w której dotychczas niema Oddziału Macierzy Polskiej. Właściwie upoważniony organizator lub organizatorka otrzyma \$25.00 nagrody. (Szczegóły objaśni Sekretarz Gł.)

\* \* \*

Sokół Orła Białego na Stanisławowie będzie stanowił osobny Oddział M. P., skoro urzędnicy jego dopełnią pewnych wymagań podanych im przez Zarząd Główny.

\* \* \*

Macierz Polska bierze udział w konferencji reprezentantów polsko - katolickich organizacyj amerykańskich, zwołanej przez Zarząd Zjednoczenia Polskiego Rz. Katolickiego w Ameryce, a odbyć się mającego w mieście Erie, Pa., w przeddzień Sejmu Zjednoczenia. Przedstawicielami Macierzy Polskiej na tej konferencji mają być. Przew. ks. Moderator i Sekretarz Główny. — Celem tej konferencji będzie: „naradzanie się nad zaprowadzeniem lepszego porozumienia i większej jednomyślności pomiędzy organizacjami naszymi, we wszystkich sprawach religijno - narodowych, społeczeństwo nasze polskie w Ameryce i w Starym Kraju żywo obchodzących.”

\* \* \*

Przyznano złoty medal pani Maryi Ciciora, prezesce Oddziału 24-go, św. Barbary, w West Hammond, za zasługi około założenia tegoż Oddziału.

\* \* \*

Franciszek Kowalski otrzymał oznak honorowy za wprowadzenie 5 nowych członków do Oddziału św. Jacka, w Cragin.

## Urzędowe zawiadomienie.

### NADZWYCZAJNY PODATEK NA POŚMIERTNE.

#### Cyrkularz Nr. 28.

Na miesiąc Październik r. 1907 wynoszący 34 centy.

Donoszę niniejszem, że na miesiąc Październik roku 1907 przypada podatek Nr. 28 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dn. 1-go lipca 1907 r., wynoszący trzydzieści cztery centy, na pokrycie niżej podanych wypadków pośmiertnego:

Wypadek Nr. 43 śp. Piotr Pulcyn, Oddz. 14; suma \$480.00.

Wypadek nr. 44 śp. Marta Stachowicz, Oddz. 24; suma \$30.00

Suma pośmiertnego do pokrycia cyrkularzem \$510.00.

Zwracam uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Z braterskim pozdrowieniem  
**Winc. J. Józwiakowski,**

Sekr. Główn. Macierzy Polskiej  
Chicago, dnia 20go września. '07.

### NOWI CZŁONKOWIE.

2493	Antoni Dziekastki	1—221
2494	Antoni Borski	1—222
2495	Antoni Bolda	1—223
2496	Stan. Osowski	8—132
2497	Winc. Kubczak	10—54
2498	Jul. Jelesńska	22—96
2499	Stan. Pawłowska	15—122
2500	Agn. Serba	20—82
2501	Helena Wiśniewska	20—83
2502	Klara Gnacińska	20—84
2503	Franciszka Zyman	20—85
2504	Franc. Grochowska	20—86
2505	Marta Patelczvk,	20—87
2506	Bron. Kapustka	20—88
2507	Maryanna Palacz	20—89

2508	Agn. Romińska	20—90
2509	Aniela Kulczyk	20—91
2510	Stan. Panfil	14—144
2511	Jan Kurczewski	14—145
2512	Jan Liss	14—146
2513	Ign. Winkelman	14—147
2514	Józef Szpekowski	14—148
2515	Antoni Daluga	14—149
2516	Stan. Wesołowski	14—150
2517	Stan. Kulczyk	14—151
2518	Szczep. Żywicki	14—152
2519	Stan. Patelczyk	14—153
2520	Stan. Gozdecki	14—154
2521	Julian Donasz	14—155
2522	Michał Budziś	14—156
2523	Adam Schultz	14—157
2524	Stan. Rychłowski	14—158
2525	Fran. Wodajczyk	14—159
2526	Stan. Krajewski	14—160
2527	Fran. Szydłowski	14—161
2528	Jan Gawroński	14—162
2529	August Rathke	14—163
2530	Maryanna Sztanka	12—233

Winc. Józwiakowski, Sekr. Gł.

### DO SZANOWNYCH

Członkiń Oddziału Nr. 15-ty św. Cecylii.

Nasze losowanie odbyło się dn. 18go września. Kolebacz wygrał nr. 806, Franciszek Iwicki, 93 Front ul. Zarazem proszę aby te członkinie, które mają dług za bilety, zapłaciły za takowe na przyszłym posiedzeniu, dn. 16go października rb.

M. Kwasińska, sekr. prot.,  
126 Front ul.

### DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW MACIERZY POLSKIEJ.

Administracja Macierzy Polskiej uprasza Szanownych prenumeratorów do nadsyłania prenumeraty za „Macierz Polską”. Zarząd poczty ustalił nową regułę zmuszając wydawców do wykreślenia z liczby każdego czytelnika który nie ma gazety opłaconej z góry, dlatego upraszamy o nadsyłanie takowej; w razie przeciwnym będziemy zmuszeni każdego nieopłaconego prenume-



ratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W. Division Str., Chicago, Ill.

## POGRZEBANE MIASTO.

(Dokończenie).

Po drugiej stroie zatoki, tam, gdzie się Fliniusz młodszy z matką znajdował, ustąpiły ciemności na drugi dzień, a słońce przedzierając się przez chmury popiołów, rzuciło na krajobraz czerwone światło; ale u stóp Wezuwiusza rozjaśniło się dopiero dnia trzeciego. Wszak popioły dolatywały do Afryki, widziano je w Syrii i Egipcie, a w Rzymie światło dzienne tak przyćmionem zostało, iż ogólna powstała trwoga wraz z myślą o końcu świata spowodowała ogólnym pożarem ziemi. Straszny pełen grozy przedstawił się widok oczom tych, którzy przeleknieni, na wół nieprzytomni, przeżyli te chwile zniszczenia. Cała, lekko falowata żyzna równina, zdobna gajami pini i oliwy i plantacyami winnej latorośli, pnących się po pagórków stokach, zamieniona została w pustynię; trzy kwitnące miasta Pompei, Herculanium, Stabii i dwie wsie Oplontis i Teglana, zasypane znikły. Wszystkie dzieła ludzkiej dłoni, wszystkie cuda hojnej przyrody, pokryte zostały szarym popiołem, odłamami wulkanicznych kamieni; a po nad tem wznosi się wciąż huczący i grzmiący wulkan, odarty ze swej zielonej, uroczym spokojem tchnącej szaty, czarny, złowrogi, jak kąć nad ofiarą.

Nowi badacze twierdzą jedno-myślnie, że Pompei tylko po dachy zasypałem zostało; warstwa niemal 14 stopni gruba, dziś je przywalająca, powstała dzięki powtarzanym późniejszym wybuchom Wezuwiusza. Wkrótce powrócili mieszkańcy i natura sama lekkiego kamienia ułatwiła im poszukiwania i pozwoliła najdroż-

sze przedmioty wydrzeć z łona popiołów. Ale znowu zamieszkają te złowrogi miejsca, po bolesnem doświadczeniu, na to się nie zdobyli — chociaż cesarz Tytus pragnął wskrzesić zasypałe miasto. Rozproszyli się po wsiach okolicznych, a podanie niesie, że osada główna przez nich w pobliżu założona, po 400 latach przez mściwą górę, raz jeszcze zniszczoną została. Popioły wulkaniczne zwietrzały prędko i zamieniły się w urodzajną ziemię. Zielone zasiewy krzewiły się, kwitły drzewa owocowe na gruzach zapomnianego i zasypałego Pompei, a 60—100 stóp nad przepaścią kryjącą Herculanium wzniosły się miasteczka Poreici i Resina.

## ZABAWA W „WIANKI”.

(Do obrazka w Nr. 39, na stronie 572.)

Dzieci tworzą koło, które się dzieli na 4 części oznaczające: róże, niezapominajki, fiołki i bratki. Pierwszą zwrotkę śpiewają wszystkie dzieci, drugą róże itd. ostatnią wszystkie dzieci. Kółko w ruchu, przy czem każdy gatunek kwiatów, śpiewając swoją zwrotkę, łączy się w kółko i obraca; przy ostatniej tańczą razem wszystkie w koło.

1

Przyszła wiosna, więc kochanki,  
Rwijmy kwiatki, plećmy wianki,  
Dla mateczki i dla tata,  
Dla siostrzyczki i dla brata.

2

Najpiękniejsza, niesie ci sława,  
Róża kwiatów jest królowa.  
Więc uwijmy wianek z róży,  
Wianek piękny, wonny duży.

3

Tam nad wodą miłą wiosną,  
Niezabudki modre rosną,  
Dajcie, dajcie na wianeczki  
Niezabudki, jak gwiazdeczki.

4

Fiołki w trawie się ukryły,  
Lecz je zdradza zapach miły,  
Gdy kwiateczki te zerwiemy,  
Ładny wianek uwijemy.

5

Czwarty wianek będzie z bratków  
Tych prześliznych, darzonych kwiat-  
ków

Co nam rosną na słoneczku  
Całe lato w ogródeczku.

6

Cztery piękne wianki mamy  
Więc się żywo wykręcamy,  
Już tańczą fiołki, róże,  
Niezabudki, bratki duże.

### Trafna przepowiednia.

— Co ci ta stara cyganka przepowiedziała?

— Że wkrótce poniosę wielką stratę.

— No i sprawdziło się?

— Tak, zaraz po jej wyjściu spostrzegłem się, że mi brak zegarka z łańcuszkiem.

## "Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$3.

### Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego rodzaju. — Katalogi wysyłamy darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Introligatorynia Polska w Ameryce, wykonywa wszelkie prace w zakresie introligatorski wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

**W. Dyniewicz,**  
532 Noble ul., Chicago, Ill.

## Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powietrzem, Wibracją, Elektryką, Masażem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

**Władysław Krupa,**

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

## Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup, towarzystw i dzieci.

### Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

## St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

## AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

## FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko, starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225



# NAGRODY

dla Członków i Członkiń pracujących nad powiększeniem szeregów Macierzy Polskiej.

## NAGRODA PIERWSZA:

Za dziesięć nowych członków lub członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn).

Ten wspaniały szczerzłoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem „Hołd zasłudze” na przodzie, a nazwiskiem odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzłoty medal z naszym godłem, w formie breloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym

na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba,

## NAGRODA DRUGA:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzłoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

## NAGRODA TRZECIA:

# 50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

OGŁASZAJCIE SIĘ  
W „MACIERZY POLSKIEJ”.

## N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Półkój 307, Seis pietro. Tel. Central 608.  
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427  
Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1364



1907 SEPTEMBER 1907

S	M	T	W	T	F
1	2	3	4		
8	9				

Good Clothes

THE ARMITAGE

MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.

Telefon Monroe 1298.

## JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgł. ście się do nas my wam najlepiej usłużymy

### A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

**JAN KOWALSKI,**

agent ubezpieczenia od ognia członek

Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie  
ceklami i Tapetami

**MAX BROCHOCKI,**  
Malarz i Dekorator.

Vykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim  
wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

## INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,  
CHICAGO, ILL.

podjekuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

## OLSZOWY I SPÓŁKA,

812-814 Milwaukee Ave.  
CHICAGO, ILL.



## JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy  
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, śmieszki, i t. p.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

Otwarte w dzień i w nocy.